

Św. Piotr Klawer T. J., Apostoł murzynów.

Św. Kongregacya Rozkrzewienia Wiary.

Rzym, 1 lipca 1911.

Protokół. Nr. 583/1911
Przedmiot:
Odpowiedź na sprawozdanie roczne.

Pani Hrabino!

Otrzymałem sprawozdanie z zebranych i rozdzielonych jałmużn przez Waszą pobożną Sodalicyę w roku 1910.

Dziękuję za to sprawozdanie i cieszę się, że mam sposobność wyrażenia Pani mego zadowolenia z powodu ciągłego rozwoju Sodalicyi, jako też z racyi niestrudzonej gorliwości Pani i Jej współpracownic.

Teraz należy tylko iść odważnie obraną drogą, a Zbawiciel nie odmówi wzrostu dziełom przedsięwziętym przez Panią, czego pragną wszyscy ludzie dobrej woli na korzyść biednej Afryki.

Z życzeniem tem łączę błogosławieństwo dla Pani i dla wszystkich, którzy pomagają do rozszerzenia się Sodalicyi.

Życzliwy sługa
Fr. G. M. Kard. Gotti, *Prefekt.*
Luigi Veccia, *Sekr.*

Hr. Marya T. Ledóchowska,
Generalna Kierowniczka
Sodalicyi św. Piotra Klawera.

POWOŁANIE.

Do młodych Czytelniczek!

Znalezienie właściwej sobie drogi, obranie stanu, do którego nas Pan Bóg przeznaczył i uzdolnił, jest rzeczą niezmiernie ważną, gdyż tylko wówczas możemy być szczęśliwi i wówczas tylko możemy z pożytkiem pracować.

Gdy idzie o wybór stanu dla dziewczęcia, namysł jest zwykle niedługi. Przedewszystkiem przeznacza się je do życia rodzinnego, i dopiero wówczas, gdy lata młodości miną, i nadzieja własnego ogniska zawiedzie, szuka się stałego zatrudnienia, bądź dla zarobku, bądź dla zabicia czasu. Całe szczęście, jeśli, choć późno, znajdzie się zajęcie, któremu ta nowa kandydatka do pracy zawodowej odda się szczerze, z zapomnieniem o swojem „ja“, odpowiadając w ten sposób zadaniu kobiety.

Można przypuszczać, że osoby, które w późniejszych latach odstręczają od siebie, w sercu mają gorycz i nie są ze świata zadowolone, nie natrafiły na swoje powołanie.

Niejedna kobieta, otaczająca niemal wyłączną troskliwością psy lub koty, byłaby może doskonałą dozorczynią chorych, gdyby ktoś w młodości zwrócił uwagę na jej potemu uzdolnienie. Pewną jest rzeczą, że wiele sił idzie na marne dla braku właściwego kierunku. Niejedno serce popada w samolubstwo i zaskorupienie w sobie, dlatego, że nie znalazło celu, któryby ukochać było w stanie.

Przechodząc od tych ogólnych uwag w kwestyi powołania, do określeń ściślejszych, zamierzam poruszyć parę myśli, dotyczących oddania sił swych i zdolności na służbę misyj. Powołanie do tej apostolskiej służby jest jedną z największych łask, jaką Pan Bóg może obdarzyć młodą istotę. Jest to po-

wołanie rzadkie, rzadsze niż jedno na tysiąc, ale tylko wtedy możemy tej, z pośród tak wielu wybranej, życzyć szczęścia, jeśli swemu powołaniu odrazu, bez wahania, odpowie! O, dlaczegóż nie wszystkie idą za tem wezwaniem! Obyż przynajmniej odstraszył je od nieposłuszeństwa smutny przykład tych, co oparły się łasce.

Moglibyśmy przytoczyć cały szereg bardzo nieszczęśliwych rodzin, nie zaznających spokoju, dlatego, że matka zajęła stanowisko, na które Pan Bóg jej nie powołał. Ileż jest osób np. obdarzonych wszelkimi przymiotami i zdolnościami dobrej nauczycielki, które jednak nie obrały tego stanu, nie spełniły swego zadania w życiu i nigdzie nie będą na swojem miejscu.

Zdarza się, że rodzice sprzeciwiają się powołaniu swej córki — lecz, niestety, zbyt często przychodzi im później żal niewczesny, gdy widzą życie dziecka zwichnięte, lub złamane. Czasem jednak i bez własnej, lub cudzej, winy można rozminąć się z powołaniem. Tak bywa u zbyt nieśmiałych, nie mających odwagi zasięgnąć rady tam, gdzie powinny. Brak im sposobności do wstąpienia na drogę, ku jakiej je pociąga łaska i do uczynienia kroku stanowczego nigdy nie przychodzi. Nie każda może być nauczycielką, pielęgniarką, Siostrą misyjną. A jednak są i takie, które choć widzą drogi te przed sobą zamknięte, mają jednak niezaprzeczone powołanie do zaparcia się siebie i ofiarnej pracy dla Chrystusa Pana i zbawienia dusz.

Takim dostarczy zajęcia Sodalicya św. Piotra Klawera. *) Bardziej zdolne znajdą zatrudnienie w redakcyi, mniej zdolne w drukarni lub ekspedycyi. Pracy jest tam dostatek dla wszystkich i dla każdej z osobna. Kto umie dobrze rachować i prowadzić księgi, może być misyom *bardzo* pożyteczny. Dzielne młode gospodynie, władające każdem narzędziem domowem i igłą, znajdą chętne przyjęcie; a przytem każda i w każdem zatrudnieniu ma jeden i ten sam cel, do którego wszystkie dążą: ratowanie dusz w Afryce.

Oswobodzenie dziecka murzyńskiego, wyzwolenie afrykańskiej kobiety i dziewczyny z hańbiącej niewoli, nawrócenie Afryki na chrześcijaństwo: to jest cel pracy Sodalicyi św. Piotra Klawera. Oby jak najwięcej młodych dusz cel ten poznało, ta bowiem, co go pozna, nie może pozostać dlań obojętną, a nie jedna pospieszy z pewnością oddać mu się zupełnie.

---

*) Generalna kierowniczka Sodalicyi św. Piotra Klawera, hr. M. T. Ledóchowska, przebywa w domu głównym w *Rzymie, via dell' Olmata 16.* Drugi dom Sodalicyi jest w „Maria Sorg", koło Salzburga. Filia polska znajduje się w *Krakowie, przy ul św. Anny 4* Zarówno w Rzymie, jak w Krakowie, można zasięgać bliższych wskazówek, odnoszących się do Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Wiele już, dzięki Bogu, dokonano w Afryce za sprawą młodej i nielicznej Sodalicyi św. Piotra Klawera; ileżby można zdziałać, gdyby była ona liczniejszą!

Dzięki dokonanej pracy, cieszy się Sodalicya św. Piotra Klawera szczególnem błogosławieństwem Ojca św. i przychylnością wielu Dostojników kościelnych, Misyonarze nazywają ją „matką Afryki", gdyż jak do matki wołają do niej o pomoc w każdej naglącej potrzebie.

Ale Afryka to obszar trzy razy większy niż Europa, a Sodalicya św. Piotra Klawera jest jeszcze tak mała. Chciałaby zaradzić potrzebom wszystkich misyj w Afryce, dopomódz do wznoszenia i wyposażenia świątyń, dostarczyć kościołom i szkołom książek, (drukując je w swych drukarniach w „Maria Sorg" lub w Rzymie), przyczynić się do wykształcenia kapłanów i nauczycieli, chciałaby uczynić wiele, bardzo wiele, ale ma ręce związane, gdyż liczba członków jej internatu nie odpowiada niezmiernemu polu pracy.

Ufamy, że Pan Bóg raczy skierować nowe młode siły do Sodalicyi, której hasło brzmi: *„Z rzeczy Boskich najbardziej Boską jest współdziałanie dla zbawienia dusz."* Niech przyjdą i przekonają się, że jarzmo Pańskie jest słodkie, a brzemię lekkie dla tych, co z odwagą przystępują do dzieła i mężnem sercem przy niem trwają.

F. M.

ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

CZARNE KWIATY.

Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetman'a, misyonarza Lazarystę.

(Ciąg dalszy).

XIX.

Wiara Abissyńczyków.

Trzeba być sprawiedliwym, i po odsłonięciu ujemnej — ukazać również dodatnią stronę medalu! Abissyńczyk bowiem jest istotą rdzennie wierzącą, wiara jego jest niewzruszoną, a posty wprost okrutne! i dlaczegóż iść musi tyle dobrego na marne? Posty stanowią trzy czwarte treści ich praktyk religijnych, zachowują oni rocznie przeszło dwieście dni postu, nie biorąc nic zgoła do ust aż do południa; bardzo też łatwo oburzają się i gorszą najlżejszem przekroczeniem w tym względzie. Nie połkną nawet śliny, a jeżeli pada deszcz, zamykają

szczelnie usta, aby nie dostała się do nich przypadkiem kropla wody. Jeżeli jednego i tego samego dnia przypada post i święto obowiązujące, co nie rzadko się zdarza, to Msza śpiewana odprawia się dopiero przed samem południem, boby, według ich mniemania, złamanym został post przyjęciem Eucharystyi.

Tyle co do postów.

Podziwu godną zaiste jest ich wiara, lecz niezawsze do naśladowania możebną; widzimy jak całują z czcią zewnętrzne mury kościoła, koło którego przechodzą, w kościele zaś są w stanie godzinami całemi klęczeć z głową przywartą do ziemi w największem skupieniu. W chorobie piją wodę święconą, połykają medaliki z zadziwiająco silną wiarą; upraszają też nieustanie o „phase tében“, co znaczy „lekarstwo węża“, a lekarstwem tem nie jest nic innego, jak medalik św. Benedykta. Wierzą niezachwianie, iż nosząc tenże, zabezpieczają się od ukąszeń płazu, od którego roi się w całej Abissynii.

Pewien poeta napisał:

„Czy nie Jesteś, Dziewico Maryo,
Zawsze przedmiotem naszego kochania?
Nawet gdy serce zadaje kłam
Cnotom dni pierwszych zarania.
Imię Twe jest osłodą w ostatniej godzinie.
Ono pierwsze z ust dziecka hen ku niebu płynie.“

To, co tu się mówi o uczuciu duszy ludzkiej pociągniętej ku Maryi, jak gwiazda ku słońcu, zastosować można w zupełności do ludu abissyńskiego, który pośród tylu burz zachował do Matki Bożej gorące nabożeństwo. Szczególną doprawdy jest cześć, jaką Maryę otaczają. Imię Jej na wszystkich jest ustach. Szkaplerze i medale z Jej wizerunkiem, to — klejnoty naszych chrześcijan, różańce zaś u ich pasa stanowią kontrast ze zwieszającą się obok straszną szablą zakrzywioną. Obchodzą oni na cześć Matki Bożej mnóstwo świąt, z których każdemu co miesiąc poświęca się wspomnienie. Do uroczystości Wniebowzięcia przygotowują się piętnastodniowym postem, i więcej wogóle wzywają Matki, aniżeli Syna. Wzywają Jej pomocy nawet w chwili spełniania niegodziwości, i tak, jeżeli przyjdzie im ochota przywłaszczenia cudzych krów, to kradnąc wzywają Maryi i składają Jej następnie jedną w ofierze!

Gdyby nie przywiązanie ich tak silne do Maryi, daliby się bez wielkiego oporu przekupić protestantom, gdyż będąc z natury żebrakami, przyjęliby z łatwością, sypiącą złotem, religię, lecz protestanci sami zgotowali sobie kategoryczną odprawę, odmawiając czci Matce Bożej. Pozostała więc z wiary katolickiej cześć Przenajświętszego Sakramentu i nabożeństwo do Najśw. Maryi Panny, upewniając nas niejako, iż nie wszystko stracone! To też z nastaniem wolności, rozpocznie się gorąca dla misyonarzy praca! I jeżeli nie odmówi

Swej pomocy Marya, Ona, której tak usilnie wzywa ten lud biedny, to piękne zaiste będzie żniwo, gdy zejdzie na nowo słońce łaski Bożej na tę ziemię przeklętą, przywracając pierwotną jej wspaniałość. Teraz otacza nas noc ciemna z całą swą okropnością, lecz na niebie, wysoko błyszczy Gwiazda zaranna — Marya!

(C. d. n.).

Korespondencya misyjna.

Z misyi nad Zambezą, w Rodezyi.

O. Moskopp pisze z Lufundza-River do Generalnej Kierowniczki:

Znaleźliśmy dwa miejsca odpowiednie pod budowę nowych stacyj misyjnych, obydwa nad rzeką Ruagwą. Jeden posterunek w pobliżu Lufundza-River, u wnijścia do gęsto zaludnionej doliny, nadaje się szczególnie z tego względu, że można stamtąd bez trudności odwiedzać chrześcijan z Miruru; drugi — leży nad potokiem Katondue, o jakie pięć godzin drogi od Lufundzy. Jest tam woda i dużo miejsca, co sprzyja osiedlaniu się chrześcijan z Miruru i Boromy.

O kwadrans drogi od Katondue znajduje się ferma p. Brużka, Czecha. Ten dobry obywatel powiedział wprawdzie, że potok Katondue należy jeszcze do jego posiadłości, lecz on odstępuje swych praw misyi. Wzięliśmy się odrazu do karczowania lasu, budowania baraków i sadzenia drzew. Potok Katondue płynie cały rok, nawet w czasie suszy, to też na jego brzegach rośnie istny las palmowy. Rozlewając się na równinie Ruangwy, Katondue tworzy moczar, który możnaby przeistoczyć w najpiękniejszy ogród. Grunt — urodzajny, odwieczny czarnoziem. Dom nasz ma być wzniesiony na pagórku, okolonym potokiem o jakie 20 metrów ponad równiną. Z powodu poblizkiego moczaru, zdawałaby się ta miejscowość niezdrowa, ale zapewnienie p. Brużka — wręcz przeciwne, a i my sami mamy możność przekonania się, że silny wiatr wieje cały dzień ponad pagórkiem.

Dotychczas czujemy się zupełnie zdrowi. Brat ogrodnik wyciął już spory kawał lasu i zasadził drzewa owocowe.

Teraz owoce pracy misyjnej w Miruru nie przepadną, możemy pozostać w pobliżu naszych chrześcijan. Obecnie warunki kupna gruntu są jeszcze pomyślne, niewiadomo czy tak będzie w latach następnych i dlatego należy korzystać ze sposobności i zabezpieczyć kapitał w ziemi, co może być bardzo pożyczne dla przyszłości misyi.

Kiedy bank z Salisbury nadesłał nam przekaz pocztowy od Czcigodnej Pani, dopieroż były domysły, kto to ten wielki dobroczyńca! A chociaż wszyscy doszliśmy do wniosku, że to Sodalicya św. Piotra Klawera, jedakże, wobec braku pewności, nie mogliśmy podziękować odrazu.

Wsparcie nadeszło w chwili bardzo pożądanej, gdyż na terytoryum angielskiem trzeba wszystko płacić monetą, a tej mieliśmy mało.

Dałoby się wprawdzie wiele uratować z Miruru, ale że szło o pośpiech, a właśnie była pora deszczów, więc niejedno uległo zniszczeniu. Te materyalne straty i rany zabliźnią się jednak prędko, główna rzecz, że jesteśmy w bezpieczeństwie.

Wycieczka do Wikaryatu apostolskiego Nyassy.

W. O. Travers, z Kongr. Ojców Białych, opisuje w sposób bardzo interesujący główne stacye misyjne, któremi zarządza, uwzględniając ich stan ekonomiczny.

Stacye nasze w liczbie dziesięciu, oprócz dwóch klasztorów Sióstr Białych, leżą na linii, poczynającej się na południu jeziora Nyassy, przechodzącej przez środek jeziora Bangweolo, a kończącej się u południowego krańca jeziora Tanganiki.

Zwiedźmy je pobieżnie. Zaczniemy od najmłodszej *Ntokataki*, na wybrzeżu jeziora Nyassy. Do roku zeszłego była ona tylko filią Muy, oddalonej o 15 kilometrów; wobec jednak dążności protestantów, usiłujących wszelkim sposobem zahaczyć się tutaj, a przedewszystkiem z powodu nadzwyczajnego jej znaczenia, jest to bowiem jedyne może w Afryce tak wielkie skupienie ludności: 30.000 krajowców w promieniu godziny drogi pieszo, Msgr Dupont postanowił misyę tę oddzielić. Pierwsi katechumeni ukończyli już swe czterolecie nauki i w dniu Wniebowzięcia N. M. P. 53 dorosłych i żonatych, a nawet po większej części ojców i matek rodzin, przyjęło Chrzest św. Piękna to była uroczystość, podniesiona jeszcze obecnością Wikaryusza apostolskiego, który odprawił pontyfikalną Mszę św. Z tysięcy piersi wyrywały się radosne okrzyki, gdy Pasterz wychodząc z ubogiego tymczasowego kościoła, szedł błogosławić tłumy, nie mogące pomieścić się w świątyni. Ludność ta jest bardzo dobrze usposobiona i za lat kilka liczba chrześcijan dojdzie do kilku tysięcy; ale potrzebowalibyśmy dużego kościoła, a kasa pusta! W obecnej chwili, z powodu braku środków, musi być postawiona obszerna chata dla pomieszczenia wzrastającej naszej owczarni. — Kiedy stanie kościół istotny? — Odpowiedź na to w mocy kochanych naszych Dobroczyńców.

O 15 kilometrów stamtąd wznosi się misya *Mua*, jedyna, która posiada wszystkie potrzebne budowle. Piękny i trwały kościół wystarcza dla 200 do 300 gromadzących się w nim chrześcijan i daleko większej ilości katechumenów. Klimat tu gorący sprzyja anemii; koniecznem też jest, by koledzy nasi od czasu do czasu odetchnęli świeższem powietrzem. Sposobności do tego dostarcza odległa o jakich 12 kilometrów filia, którą muszą obsługiwać. Jest to ich sanatoryum. Dla dostania się tam trzeba wprawdzie piąć się na górę trzy godziny, lecz za ten trud jest się wynagrodzonym najpierw klimatem chłodnym niemal, a szczególnie pociechą głoszenia słowa Bożego ludności bardzo licznej, (80 wsi w promieniu 1½ godziny najwyżej), i bardzo dobrze usposobionej.

Chcąc nie chcąc, trzeba będzie i filię *Bembeke* odłączyć od misyi macierzystej, jak to się stało w Ntakataka.

Po dwóch czy trzech dniach pochodu (112 kilometrów), napotyka się stacyę *Likuni* wśród ludności, niegdyś pobitej i upokorzonej przez plemię Ongoni. Nie postępowała ona tak rączo jak poprzednie, ale obecnie już się rusza i na Wielkanoc ma mieć pierwsze chrzty dorosłych. Z budowli braknie tylko kościoła.

O 113 kilometrów dalej ujrzymy stacyę *Kachebere*, gdzie misyonarze pracują nad nawróceniem plemienia zwycięskiego Ongoni, o umyśle bystrym, co czyni je przystępnem dla apostolstwa. Sześćdziesięciu dorosłych tworzy już wierną trzódkę; na Wszystkich Świętych liczba ta wzrośnie więcej niż w dwójnasób, a setki katechumenów przygotowują się do przyjęcia Chrztu św. za dwa lata. Stacya ta, położona blisko Fort-Jameson, stolicy północno-wschodniej Rodezyi, dzięki prowadzonemu tu ogrodownictwu, dostarcza cennych środków, zmniejszających wydatki, jakieby zaciężyły z jej powodu na wikaryacie apostolskim. Ogród jej posiada wszystkie jarzyny europejskie i obfituje w owoce. Wynika stąd jeszcze i ta korzyść, że możemy zaprawiać naszych Ongoni do pracy umoralniającej i uniknąć zmartwienia, jakie sprawia wyjście ich do kopalń. Tu jeszcze potrzebny duży kościół dla zastąpienia małej sali, która służy teraz jako dom Boży.

Stąd trzeba dwunastu dni drogi dla dostania się do nowej stacyi w okręgu Ubemba. Pierwszą stacyą jest tu *Chilonga*. Obfituje ona w pracę, ze względu na wyniki, pocieszającą, ale dla natury ciężką z powodu wsi zbyt nielicznych i zanadto rozrzuconych. Jest tu 200 chrześcijan dorosłych, tysiące zaś katechumenów przygotowują się do Chrztu św. Kośbiół zbudowany z cegły. Niestety, dom mieszkalny misyonarzy, szkoła i inne budynki muszą uledz przeróbkom, ale.... zawsze ta sama zwrotka....

O dziesięć dni drogi od Chilongi, na jednej z wysp jeziora Bangweolo znajduje się stacya *Chilubi*. Tu Ojcowie nasi pracują nad ludem Bebisów, plemieniem zwyciężonem i wypartem ku bagnom przez Babembów. Znaczy to, że to plemię nie dostarczy misyonarzom zasobów, jakich dostarczają zwycięzcy. Jednakże i wśród nich ruch jest widoczny, i w Chilubi odbył się po raz pierwszy chrzest dorosłych na Wielkanoc. Ojcowie tu dobrze pomieszczeni, ale Pan Jezus przebywa tymczasem w budynku, przeznaczonym na szkołę. Trzebaby więc tu kościoła.

To samo da się powiedzieć, co do potrzeb, o sąsiednim posterunku *Ngumbo*, do którego dostać się można po niespełna dwóch dniach podróży czółnem.

O siedm dni drogi pieszo na północny wschód, leży stacya *Chilubula*, rezydencya Wikaryusza apostolskiego.

Ze wszystkich naszych stacyj najważniejsza to w obecnej chwili, jeżeli nie z powodu ilości neofitów, to wskutek liczby katechumenów i ochotników uczęszczających na naukę. Ale praca tu ciężka. Sześciu zajętych nią misyonarzy musi w ciągu sześciu miesięcy rocznie szukać po górach i dolinach swych 45.000 parafian, osiadłych dokoła misyi, a nawet i o sześć dni drogi pieszo. Więcej niż 500 dorosłych i tyleż dzieci otrzymało Chrzest św. Jest to już mała parafia, dostarczająca swym kapłanom wiele pociechy, ale i wiele trudu, gdyż przystępowanie do Sakramentów św. w wielkiem tu poważaniu. Obok domu Ojców znajduje się dom Sióstr, gdzie cztery zakonnice misyonarki oddają się usłudze chorych i nauczaniu kobiet. Mieliśmy tam kilka lat temu piękny kościół świeżo odnowiony, gdy wada w budowie spowodowała zawalenie się świątyni. Dzięki Bogu, nie było żadnego wypadku śmierci, ale znowu kielnię należało wziąć do ręki. -

W obecnej chwili katedra Wikaryusza apostolskiego podnosi się z gruzów piękniejsza, a nadewszystko trwalsza niż poprzednia.

O dwa dni stamtąd na północ leży mała misya *Kapatu*, nie licząca jeszcze czterech lat istnienia.

Wreszcie po pięciu dniach podróży ku półn. - wschodowi znajdziemy się w *Kayambe*, najdawniejszej z naszych stacyj. Z 1.200 krajowców, osiedlonych w pobliżu Ojców, prawie wszyscy są chrześcijanami; jest więc to już ładna mała parafia, ale filie zależne od Kayambe, a wznoszące się o trzy, lub cztery dni drogi na około tego ogniska, o dwadzieścia razy przewyższają je liczbą chrześcijan. Pierwsi katechumeni tych filii zostali już chrześcijanami, za kilka lat liczyć się oni będą na tysiące. W Kayambe, jak w Chilubuli, cztery Siostry Białe dzielą skutecznie i z poświęceniem trudy Ojców. Przepyszny kościół gotycki został wzniesiony tam przed dwoma laty. Chcąc mieć w porządku wszystkie budynki, trzeba zastąpić izby szkolne obecne, z gliny zmieszanej ze słomą, budynkami z cegły.

Zwiedziliśmy więc przelotnie nasze misye. Domyślicie się pewno sami, że dokonana tu praca — a jest ona znaczna — musi być w wielkiej części dziełem katechistów. Niezawodnie głównym czynnikiem jest tu misyonarz kształcący katechistów, ale bez współudziału tych cennych pomocników, dosięgnięcie takiej ludności byłoby fizycznie niemożebne. Rolą misyonarza winno być kształcenie katechistów, kierowanie nimi, odwiedzanie ich od czasu do czasu dla zachęty; nigdyby jednak nie był on w stanie wykształcić katechumenów.

Zadanie więc to jest w całem znaczeniu dziełem katechistów w tym kraju. Dotąd możemy tylko pochwalić się tymi pomocnikami. Obecnie jest ich przeszło 180. Wiara ich i gorliwość zamykają im oczy na stronę materyalną, ukazując tylko rozszerzenie Królestwa Bożego. Niestety! mogliśmy przeznaczyć dla każdego z nich tego roku zaledwie 32 szylingi, czyli 40 fr. Suma ta ma pokryć koszta ich utrzymania, ubrania, i to nietylko ich, ale żony i dzieci. Niedostateczne to, lecz fundusze nasze nie pozwalają uczynić więcej!...

Drobne wiadomości misyjne.

Z Kamerunu. W Dschang, w głębi Kamerunu półn.. czynią się przygotowania do stworzenia nowego posterunku misyjnego. JE. X. Biskup Vieter, ze Zgrom. OO. Pallottynów, przesyła następujące sprawozdanie naszej Generalnej kierowniczce:

„W grudniu 1909 r. zaczęliśmy prace apostolskie w N'Gumbie, między Kribi a Yaundą i mamy już 993 katechumenów. Od trzech lat przeszło, ludzie ci domagali się misyonarzy.

Wreszcie Ojcowie przybyli i zamieszkali tymczasowo w jednej z tamtejszych wiosek. Ale oto cała ludność N'gumby, uzbrojona w stare strzelby, szable i lance, uderza na ową wieś. Gdyby misyonarze w to się nie wdali i nie oświadczyli, że nie zamierzają pozostać tu, lecz chcą znaleźć miejsce między wioskami dla wzniesienia zabudowań, zajście nie obeszłoby się bez ofiar. Tak zaś, wszystko ograniczyło się do kilku poturbowanych, których opatrunkiem zajęli się misyonarze, i wszyscy rozeszli się zadowoleni.

W Dschang postępy mniej będą szybkie, gdyż mieszkańcy tego kraju mniej są cywilizowani. Tak mężczyznom, jak kobietom, za całe ubranie służy mały kawałek tkaniny. Nie mogę jednak zostawić tego pięknego i zdrowego kraju mahometanom, opanowującym te strony.

Wzniesienie nad poziom morza sięga tu od 1.200 do 1.400 metrów. — Upał w dzień jest całkiem znośny, noce zaś są bardzo świeże.

Niezależnie od nawracania krajowców zamierzam zaprowadzić tu na większą skalę chów zwierząt domowych i uprawę roli dla dostarczenia środków misyi. A nadto z czasem będziemy mieli tu sanatoryum, co oszczędzi kosztownych podróży do Europy.

Dla wzniesienia budowli potrzeba nam 35.000 marek: kościół (36 metrów × 40), dom mieszkalny, szkoła, a obok tego kupno bydła i t. d. Teraz do budowy używam tylko cegły; Bracia nasi wyrabiają ją sami. Wprawdzie budynki z drzewa

są tańsze, ale po upływie kilku lat stają się łupem termitów, niszczących nadto ubranie i książki.

Główną moją troską jest seminaryum. Powziąłem postanowienie wysyłania wszystkich kandydatów do stanu kapłańskiego, na ukończenie studyów, do Einsiedelu. Jeżeli nie osiągną celu, można ich będzie użyć jako katechistów i nauczycieli szkolnych, a na tych stanowiskach oddadzą usługi misyi. Andrzej Togo ukończył seminaryum i czyta już bardzo dobrze Corn. Neposa.

Oby Pan Bóg przyszedł nam z pomocą!

„Czynić dobrze, znosić zło i wytrwać do końca: oto życie apostołów“ — mawiał Czcig. Wincenty Pallotti.“

W. Siostra Marcyanna, Przełożona Sióstr Naśw. Panny od Apostołów w *Mussu (Wybrzeże Kości Słoniowej),* pisze nam:

Mussu to — duża wieś na brzegu olbrzymiej laguny, będąca punktem komunikacyjnym między otaczającemi ją wioskami. Zasoby nasze, bardzo małe, wystarczyły tylko na zapewnienie mieszkania dla nas, nie dozwalając myśleć jeszcze o licznych dzieciach, domagających się przytułku w misyi. Co począć?... Trzeba czekać, aż znajdą się dobroczyńcy natchnieni przez świętego Antoniego, Opiekuna misyi Sióstr w Mussu, którzy przyjdą nam z pomocą dla wzniesienia małego prostego budynku, mogącego służyć jako szkoła, dortuar i pracownia zarazem....

Kronika Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Filia we Wrocławiu. — *Dnia 7 czerwca.* Przemówienie Generalnej Kierowniczki w sali Zakładu św. Agnieszki. Po przywitaniu przez X. Prof. Hoffmana, prelegentka zwróciła uwagę słuchaczy na obecne przesilenie religijne w Afryce, z czego wynika, że niesienie misyom tamtejszym pomocy jest rzeczą sumienia. Jeden z najlepszych środków nawrócenia Afryki, to — kształcenie kapłanów-murzynów, którzy nie potrzebują walczyć z klimatem, jak kapłani europejscy, ani uczyć się języka krajowców, co tyle zabiera drogiego czasu, a nadto znają obyczaje murzynów — i nie grozi im obawa wydalenia przez rządy.

Dnia 8 czerwca odbyło się zebranie eksternistek w biurze Sodalicyi. W uroczystość Serca Pana Jezusa przystąpią do niej dwaj nowi członkowie.

Berlin. — Wieczorem dnia 16 czerwca urządziła Generalna Kierowniczka zebranie członków Sodalicyi, zamieszkałych w Berlinie. Wielebne Siostry Józefitki ustąpiły na ten cel swej sali pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego. Chociaż czas do rozesłania zaproszeń był krótki, to jednak osoby zawiadomione stawiły się licznie, dając dowód trwałej przychylności. Obecna na zebraniu hr. Oppersdorff została zelatorką.

Od dnia 15 października zamieni się tutejsze Zastępstwo Sodalicyi św. Piotra Klawera na *filię* pod tem samem gorliwem

kierownictwem. Na siedzibę filii obrano mieszkanie naprzeciw instytutu św. Franciszka Ksawerego przy *Kaiserstrasse 9*. Biuro będzie otwarte codziennie dla przyjmowania ofiar i prenumerat, zarówno jak i muzeum dla tych, którzy zechcą je zwiedzić.

Geistingen (w pobliżu Kolonii). — W dzień uroczystości ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła wygłosiła tu Gen. Kierowniczka odczyt o Sodalicyi św. Piotra Klawera. Zebranie otworzył i zamknął X. Proboszcz Schönenberg, polecając słuchaczom Sodalicyę, której działalność w przychylnych zaznaczył słowach.

„Maria - Sorg“ (Marya - Wspomożycielka) koło Salzburga. *Dnia 19 czerwca* zaszczycił X. Biskup Rieder swemi odwiedzinami skromną siedzibę misyjną, przybraną odświętnie na tę uroczystość. X. Biskup wracał z wizyty kanonicznej i już po drodze we wsi Lengfelden witany był przez mieszkańców z entuzyamem, któremu wtórowały salwy z moździerzy. Zwierzchność gminna i szeregi straży ogniowej przywitały Arcypasterza z oznakami głębokiej czci.

W „Maria - Sorg“ oznajmił dzwonek kapliczki przybycie X. Biskupa, którego u bram domu oczekiwał X. Kapelan i dyrekcya Zakładu misyjnego. W kaplicy przemówił X. Biskup do zgromadzonych członków po ojcowsku, zapewniając, że chętnie tu przybywa. Zatrzymawszy się godzinę w zakładzie, powrócił X. Biskup do Salzburga.

ODCINEK.

TEOFIL

wzór służącego, Malgasza.

Przez O. Fontanié T. J.

Od przybycia mego na Madagaskar upłynęło kilka już miesięcy. Zajęty byłem właśnie budową kościoła i szkoły w okręgu Alrobia, gdy między pomocnikami murarskimi zwróciło szczególną mą uwagę stworzenie brzydkie, niekształtne, niezgrabne, o wyrazie głupowatym, nie umiejące użyć ani swych rąk, ani nóg, ani swego rozumu, popychadło wszystkich swych towarzyszy.

— Jak się nazywasz?

— Teufilu.

— Skąd przybyłeś?

— Z Ambozitry.

— Czy jesteś niewolnikiem?

— Nie.

— Dlaczego służysz u Rainitawego? Czy on ci co daje za to?

— Ani ziarna ryżu!

— Czy pójdziesz ze mną? Ja cię uwolnię.

— Dobrze, mój Ojcze.

I tak się stało. Kuchcika, który miesił dawniej błoto, podniosłem do godności mego kucharza. Szczegół ten wyjaśnia, dlaczego przez długi czas zupa podobną była do ohydnej mięszaniny wapna z piaskiem. Ale na Madagaskarze któżby zwracał uwagę na takie rzeczy! Cóż stąd, że żołądek trochę cierpiał, gdy kieszeń zyskała! Trafiłem na kucharza nie złodzieja, co jest rzadkością tutaj. Z czasem z mego idyoty Teofila stał się słynny kucharz, któremu równego nie posiada cała misya. A oto w jaki sposób.

Za każdym razem, cośmy przybywali do stolicy, kucharze naszej rezydencyi, widząc Teofila, sami, założywszy ręce, kazali mu się brać do wszystkiego, i Teofil, chcąc nie chcąc, posiąść musiał wszelkie tajemnice sztuki kulinarnej z wyjątkiem... porządku. Ale, ileż razy żołądek jego padł ofiarą niestrawności, zanim się nauczył gotować!

W dniu objęcia obowiązku rozpoczął służbę od podpalenia kuchni, a było to tak naiwne, jak wszystko, co czynił.

— Przysposób mi dwa jaja na wieczerzę.

— Nie wiem.

— Ależ, rozpuścisz tłuszcz na patelni i na wrzątek rzucisz jaja!

Teofil upewnił mię, że rozumie i rzeczywiście spełnił dosłownie polecenie; ja zaś, na nieszczęście, zapomniałem mu powiedzieć, iż jaja muszą być przedtem rozbite. On je rzucił nietknięte, ze skorupą, do wrzącego tłuszczu, wskutek czego eksplodowały, jak bomby, kuchnię zaś mą, krytą słomą, ogarnął płomień.

Innego dnia poleciłem mu usmażyć bifszyk, przedtem jednak, wybić mięso, żeby nie było twarde, co istotnie uczynił, ale na czem? Zgadnijcie! Na swem obnażonem kolanie! Dobrze, iż ogień oczyszcza wszystko!

Teofil miał wrodzony szacunek dla władzy, dla starszeństwa, co zwykł okazywać mym gościom w sobie właściwy sposób, podając, stosownie do godności, większą lub mniejszą ilość półmisków i nakryć. Dla Przełożonego misyi przeznaczał dwa noże, dwa talerze, dwa widelce, dwie łyżki; dla rezydenta z Fianarantsoi — trzy. Przed X. Biskupem podczas jego wizytacyi, postawił ogromny półmisek zamiast talerza, łyżkę wazową, olbrzymi nóż kuchenny, wielką czaszę, zastępującą wazę zamiast szklanki, a że zwykła butelka, w mniemaniu jego, była nieproporcyonalną do godności biskupiej, umieścił więc na stole największy gąsior. Na Madagaskarze, w istocie,

rozmiary naczyń stołowych i ilość pożywienia zależne są od dostojeństwa biesiadników. Spotkałem raz wielkorządcę, nawet cywilizowanego, siedział on na ziemi, na macie, z rękawami podciągniętymi do łokci; po rękach jego spływała tłustość, przed nim stał olbrzymi półmisek, raczej ceber, czy nawet koryto napełnione ryżem, mięsem, wszystko pływało w sosie.

Nieskazitelność charakteru Teofila nie dozwalała mi zwracać uwagi na te błahostki. Ja jeden może, wśród Europejczyków na Madagaskarze, pochlubić się mogłem, że mię kucharz nie okradał. A tak był uczciwy, że dobra mego strzegł do przesady. Ileż razy otrzymywałem wieczorem, polaną sosem, skromną porcyę, wyznaczoną przezemnie zrana dla niego i moich pracowników, porcyę, której on im nie oddał, skazując siebie i innych na jedzenie suchego ryżu, ku ogólnemu niezadowoleniu. W Wielki piątek, nie chcąc nic jeść wieczorem, oddałem mu połowę potrawy postnej, przysposobionej z traw, czy czegoś podobnego, dla mnie na obiad. Ale Teofil, bardziej odemnie umartwiony, nie tknął wcale jadła i podał mi to samo, wbrew mej chęci, na kolacyę.

Wedle zwyczaju na Madagaskarze, rzecz pożyczona, to — stracona, jeżeli właściciel zapomni, lub nie upomina się o nią. Przedmioty nawet wartościowe, pożyczone przez Europejczyków, zatrzymywane są prawnie przez Malgaszy. Co do mnie, nie miałem takich niedogodności: Teofil czuwał nad dobytkiem moim i żądał zwrotu każdej drobnostki. Pewnego dnia ofiarowałem wielkorządcy butelkę likieru. Wieczorem Teofil wchodzi zuchwale do mieszkania Jego Ekscelencyi, dopominając się flaszki i dowodząc, że dałem tylko jej zawartość.

Ale co do butelek, oto inny rys, świadczący o przywiązaniu Teofila do swego pana. Butelki wogóle są rzadkością, a zatem cennym towarem na Madagaskarze. Zdarzyło się kiedyś, że czterech badaczy francuskich, hojnie wynagrodzonych i zaopatrzonych przez towarzystwa górnicze, skorzystało z gościnności w mem skromnem mieszkaniu. Za przejażdżkę po Madagaskarze ci panowie kazali sobie zapłacić drobnostkę, bo tylko 10.000 franków w trunkach, jak: Bordeaux, Szampan, likiery, piwo i t. p. Biedny mój stół kulawy, przyzwyczajony jedynie do dźwigania czystej wody, teraz chwiał się, jak człowiek pijany, pod ciężarem tylu spirytualiów pierwszej siły. Codziennie odbywały się z butelek hekatomby. Kucharze i służący, Malgasze, tych panów, zawsze chciwi i skorzy do ciągnięcia korzyści z *wahazów,* otrzymali z łatwością pozwolenie sprzedawania pustych flaszek. Był to dla nich zysk ogromny; w celu powiększenia go jeszcze, zagarnęli z mej niby-piwnicy trzy, czy cztery puste butelki, spoczywające wśród kurzu. Nie wzięli jednak w rachubę czujności Teofila, pilnie śledzącego wszystkie ich kroki. Wieczorem, podczas obiadu, wpadł on

do pokoju jadalnego i zawył znienacka: „Mój Ojcze, służba podróżnych okrada ciebie z flaszek!“ Przestrach padł na otoczenie. Goście chcieli wiedzieć, o co idzie, a dowiedziawszy się o powodzie przerażenia mego kucharza, zgromili sprawców rabunku i zdecydowali, że na przyszłość wszystkie butelki należeć będą do Teofila. W nocy złodzieje zdemaskowani, mszcząc się, obili Teofila, lecz on się nie bronił, mało go obchodziło, że był bity wobec tego, że uratował flaszki swego pana!

Teofil nie zadawalniał się jednak funkcyą kucharza i policyanta. Czujność ciągła nad moim dobytkiem rozwinęła w nim zdolności; dla oszczędzenia mi kosztów pod wielu względami, nauczył się różnych rzemiosł. Nigdy nie był on bezczynny. Opuszczał patelnię dla wzięcia do ręki łopaty, kielni, piły lub hebla. Dzięki jemu, w miejscu, gdzie krajowcy odmawiali wszelkiej pracy, ja mogłem zbudować w trzy miesiące kościół, szkoły, mieszkanie dla siebie i dla mych inspektorów, oraz nauczycieli szkół.

Pozbierał on z całego mego okręgu starszych uczniów i prosił o pozwolenie ulokowania i żywienia ich w kuchni. Na czele tego pułku, przez który był raczej kochany, niż szanowany, zabrał się do pracy. Jednego posyłał po wodę, drugiemu kazał wypalać cegły, innemu nosić wapno z piaskiem; sam zaś zajmował się wszystkiem jednocześnie, ale nie mając czasu na gotowanie w dzień dla mnie i całej tej gromady, kuchnią trudnił się w nocy. Krótko mówiąc, przy tylu pomocnikach, położyliśmy fundament 10 sierpnia, a 21 listopada wszystkie budynki były już gotowe.

Ale Teofil jeszcze nie spoczął. Wykopał na moim gruncie 800 olbrzymich dołów, wypełnił je nawozem i zasadził przeróżne drzewa, w tej liczbie i drzewa owocowe miejscowe i europejskie. Były więc eukaliptusy, bzy, jabłonie, drzewa figowe, bananowe, winna latorośl. Dziś, po pięciu latach pracy, zagroda moja zamieniła się w piękny ogród angielski, a dzwonnica, zbudowana przez Teofila, ginie wśród pięcioletnich kolosów młodych eukaliptusów, zroszonych potem mego kucharza. Nie wspominam już o jarzynach i jagodach, które sadził w cieniu tych olbrzymów. Lecz to jeszcze nie wszystko.

Misyonarz nie jest stale przywiązany do miejsca i parafii, jak proboszcz we Francyi. Pod mojem zawiadywaniem są 22 parafie i kościoły, rozrzucone po całym okręgu, równającego się obszarem francuskiemu departamentowi. W każdej parafii, z pomocą Teofila, trzeba było zabudować się na małą skalę. Co miesiąc muszę zwiedzać szkoły, odwiedzać chorych, spowiadać chrześcijan, walczyć z nieprzyjaciółmi Kościoła i t. d. Wszędzie towarzyszy mi Teofil, poprzedzający mego konia, z pakunkiem przyborów kościelnych na głowie. Gdy znajdziemy się u celu podróży, Teofil rusza po wodę, drzewo, za-

pasy żywności, a ja tymczasem pełnię moje funkcye kapłańskie. Nadto co tydzień udaje się on do stolicy, odległej o 50 km., po listy i zapasy śpiżarniane.

Oprócz tych zajęć, Teofil ma inne jeszcze, jest on bowiem kościelnym przy mej ruchomej zakrystyi, a w braku odpowiedniejszego ministranta służy mi do Mszy św. Z przyjemnością patrzy się na tego grubego czarnego Eliakima, którego brzydotę bardziej jeszcze uwydatnia czerwona suknia, podającego sól i kadzidło.

Ale kosztem iluż to, niedospanych przez nas obydwóch, nocy, nauczył się on *Introibo* i *Confiteor!* Na zdobycie tej wiedzy potrzebował półtora roku, a jeszcze łacina nieuszkodzona nie wychodzi z warg jego grubych.

Wreszcie, wznosząc się ze stopnia na stopień, będąc zawsze kuchcikiem i nie umiejąc katechizmu, dostąpił godności katechisty. Stało się to następującym sposobem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODPUSTY ZUPEŁNE,

których we wrześniu dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

dnia *9 września,* w uroczystość **św. Piotra Klawera.**
dnia *21 września,* w dzień św. Mateusza Apostoła.
dnia *24 września,* w dzień Najśw. Panny od Wykupu niewolników.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 1 sierpnia 1911.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Drukarnia „Czasu“ pod zarządem A. Świerzyńskiego.